

Powietrze pachniało wonią spalenizny i rozżarzonego piasku. Pamięć ludzka jest zadziwiająca, pomyślał Sefres, podchodząc do krawędzi wydartego ziemi urwiska. Przypomniał sobie ten zapach. Kiedyś, w odległym o millenia świecie, dwie śmierci temu, zabrano go do miejsca, do huty, gdzie odlewano szkło. Tam pachniało podobnie... Nic dziwnego, pod jego stopami stopiony w bryły piasek spływał na dno rozpadliny, gdzie nie widać już było zwycięzcy ani pokonanego. Tylko gładka jak szkło tafla bazaltu, drżąca w gorącym powietrzu, podpowiadała, gdzie to się stało. Jak to się zaczęło....?

*Ona.*

Tonące w mroku pomieszczenie spowite było dymem, przez warstwy którego padające z rozświetlonych pod ścianami kryształów światło przebijało się w formie fantastycznych promiennych refleksów. Samo otoczenie tworzyło atmosferę niesamowitości, tą magią można było oddychać, niemal ją kroić. Więc oddychali nią, chłonęli i wypełniali nią swoje umysły.

Ona stała przed nimi, albo pośród nich – właściwie nie wiedzieli, bo opary i światła sprawiały, że rzeczywistość rozmywała się, a perspektywa wydawała się być zmienna jak refleks światła na wirujących kryształach. Czasem wydawało się im, że się unosi nad podłogą, a rąbki sukni w kolorze zaschniętej krwi, w której zwykła ukazywać się śmiertelnikom, wcale nie dotykały posadzki. Może i tak było. Mówiła do nich, a słowa płynęły przez powietrze, nie powodując fali dźwiękowej, rozbrzmiewały bezpośrednio w ich umysłach, nie jako dźwięk a jako wrażenie.

Jesteśmy nowy światem. Wy nim jesteście. Nic we wszechświatach nie jest dane na zawsze, a czas nie jest więzami, jest tylko prądem, który nas niesie. Poznałam wasz świat, poznałam go wieloma częstkami siebie samej, wrosłam w ten świat jak roślina rzucona na wiatr. Poznałam was, odrzuconych, wygnanych, zniszczonych – niepokonanych.

Teraz chcę, abyście wy zobaczyli mój świat i poznali mnie.

Dym zgęstniał. Czas przyspieszył w rytmie wzrastającego z przejścia ich tętna, w rytmie naturalnego strachu przed nieznanym i strasznym. Krawędzie rozmyły się, tworząc barwę której nie znali i nie umieli nazwać. Wiedzieli, że są tu razem i że ona tu jest, odczuwali się nawzajem pomimo dzielącej ich odległości i wiedzieli, że tak będzie już zawsze. Jakby nawzajem wspomagali się, płynąc pod ten sam prąd, z wysiłkiem, pełni strachu jak człowiek z nagła spadający w przepaść. Aż poczuli, jak ona stawia opór, jak o jej potężną wolę rozbija się strumień energii, jak ciągnie ich za sobą i jak mogą oprzeć się o jej moc, jak zmęczony pływak opiera się o potężny pień, rozbijający nurt. Zrobiła jeden krok wbrew i zrozumieli, że jej wola jest potężniejsza niż wszystko, co znają. Stanęli mocno na nogach, wszyscy jak jeden, choć było ich wielu, a wtedy ona wsparła się na nich z drogocenną wzajemnością. Wokół nich przepływały galaktyki, niezliczone światy rozdziły się i odpływały w nicość, objając się o ich ramiona. Zrobili kolejny krok wbrew. I kolejny. A może to był tylko jeden, nieprzerwany krok.

Tamten świat otworzył się niespodziewanie. Nikt z nich nigdy nie był w stanie opowiedzieć żadnemu z ludzi, co właściwie widział. W językach ich świata nie było na to określeń, choć czuli je, nienazwane, nieuświadomione, jak mającą w umyśle. Odczuli istoty, takie jak ona, odczuli potęgę i piękno, i odczuli go wiele, ale hołd i wdzięczność i miłość, jaką ją obdarzały tamte istoty, przepływała obok nich, przez ich palce, oczy, skórę, płynąc dalej w strumieniu, któremu mogli stawić czoła, ale

którego zatrzymać nie mogli. Więc byli tam i byli wtedy, i nie byli jednocześnie. I widzieli, nie widząc, to, czego nie mogąc nazwać, nazywali miastami, górami, wieżycami, świątyniami... jej świątyniami.

A potem patrzyli wraz z nią, jak wszystko to wypełnia pustka, powoli, nieuchronnie, kropla po kropli stawała się zagłada. Wrzeszczeli, ich dusze wrzeszczały, darte na strzępy tymi wszystkimi emocjami, danymi stworzeniom naszych ras, rozdzierała ich nieogarniona rozpacz umierającego świata, strumień zamienił się w jakiś gargantuiczny płomień, zdzierający z nich po kawałku szczęście.

Aż przepłynął. Przeszedł, błysnął w spowolnionym nagle nurcie, jak refleks słońca na wodzie. I została Ona, trwająca w pełnym bólu sprzeciwie nieugiętej woli, że oto pokona strumień, że oto ona będzie skałą, o którą będzie musiał się rozdzielić, choć odebrał jej tak wiele, choć zniszczył wszystko, co znała. Trwali z nią, patrząc na przepływające słońca, tęczowe mgławice, oplatające im stopy, wirujące we włosach księżyce. Poczuli jak z nurtem jest coraz bliżej świat, który znają, dom, aż poczuli "przynależę" i płacząc, zrozumieli czym jest, tak potężnie, jak nie dane było dotąd zrozumieć żadnemu mieszkańcowi ich świata. Zrozumieli ją, patrząc na mgnienie oka jej cierpienia, na okruchy jestestwa rozrzucone po planecie i niezamierzone okrucieństwo, którym raniła siebie bardziej niż innych. Minęły sekundy jej trwania, wrastania w nowy świat, strumień nie był już tak mocny, jego nurt płynął dalej, po powierzchni, pod którą zesłi. Do domu. Z nią.

### *Oni.*

Tavar wydawała się smutna, choć wiedzieli już, że to co oglądali na jej twarzy, zwykle bywało tylko odbiciem ich własnych emocji.

- Czy wszystkim udało się powstać? – zapytała, używając głosu. Przed nią klęczał Durgh w medytacyjnej pozie, ewidentnie zbierający siły, by powstać. Sefres, z trudem, panując nad drżącymi dłońmi, przyklęknął obok. Za nim stali już, z wysiłkiem, ale na własnych nogach, kapłan Inubis, magowie Tiamat i Era oraz szaman Akinori. Byli przyzwyczajeni do obcowania z mocą, z energią, przekraczającą iskrę ich własnego organizmu, łatwiej więc znieśli tę podróż. Ci, którzy tego nie umieli, mieli większy problem. Z sąsiedniej sali, z której przed chwilą "wyruszyli", wyszedł, wspierając się o ścianę, Lambert Ostin. Umiejętności panowania nad energią wciąż były dla niego nowością. W drzwiach pojawiali się kolejni, niektórzy krwawili z nosa lub z uszu, wszyscy z trudem trzymali równowagę.

- Jeśli tak, niech stanie się zadość rytuałom tego świata.

W wielkiej sali książęcego pałacu w dawnym Aenthil białe, rzeźbione w filigranowe pnącza kolumny przyozdobiono złoto-czarnymi wstęgami. Przez salę ścielił się zielony dywan.

Na podwyższeniu stanął w skromnej, wręcz ubogiej szacie jej pierwszy kapłan i pierwszy wierny – Durgh, noszący teraz miano Proroka, zaraz obok niego po prawicy arcykapłan Inubis pod jaśniejącym sztandarem słońca oraz Akinori, wspierający się na nieodłącznym kosturze z trupa czaszką. Za ich plecami na ścianie pomiędzy kolumnami rozpostarto wielką flagę, biało-zielone tło, na którym prężył pazurzystą łapę do walki skrzydlaty czarny smok.

Najpierw podchodzili niżsi ranga, którzy otrzymywali emblematy dowódców polowych, kapitanów, hetmanów. Wulfryk, krasnolud. Khalil, nazywający siebie ostatnim Chanem. Styryjczyk Azeran. Enid z Ys. Potem ci, którzy odebrali honory Mistrzów –szeleszcząca jedwabnymi szatami Era, której piękny uśmiech był jedną z najbardziej złowieszczych rzeczy, jakie można było zobaczyć w południowych krainach. Tiamat, ten który wyśnił odrodzoną Styrię i pałace z czarnego kamienia. Za nimi ci, którzy byli łącznikiem z mieszkańcami innych ziem. Ci, którzy przybyli tu z Ostinem. Viron Rediel, jak zawsze gotów w imieniu swego suzerena walczyć sam przeciw światu. Masza Aleksandrowna, niepozorna i odmienna od wyrazistych kobiet styryjskich, ta która poszukiwała swojego miejsca, i która je znalazła. Za nimi pozostali, ci, którzy wytrwali przy swoim wygnanym wodzu, gdy był ranny, gdy umierał z dala od ojczyzny. Wreszcie zabrzmiały trąby, ściany pałacu elfów zdrząły, być może od dźwięku, a może z jakiegoś tłumionego oburzenia. Szeregi ludzi i ulundo rozstały się przed nimi dwoma, a oni szli ubrani jak książęta, w szamerowane zbroje, z których spływały czarno-złote płaszcze. Lambert dawniej hrabia Ostin w Wergundii. Dziś Wielki Hetman Nowej Styrii. I ten, który bardziej niż ktokolwiek pośród tu obecnych rozumiał Ją. Ten, który sam przeniósł wbrew nurtowi Strumienia swoją ojczyznę, swój ród i swoich ludzi z umierającej przeszłości aż do teraz.

- Długą drogę przeszedłeś, Sefresie – uśmiechnęła Pani w jego umyśle.

- Prawowity spadkobierca linii cesarskiej, opiekun i obrońca tych, którzy pozostali, Dziedzic Rodu Smoka –recytował podniośle Inubis, kiedy Durgh nakładał na jego skroń wspaniały książęcy diadem – Arcyksiążę Odrodzonego Państwa Styryjskiego. Sefres.

Pani wyszła z półcienia w którym stała i podeszła do klęczącego Styryjczyka. Uśmiechała się. Uniosła dłoń nad jego głowę, jakby delikatnie odgarniała spowijające ją myśli, a w jaźniach wszystkich obecnych ukazały się pałace z czarnego i zielonego marmuru, wspaniałe fontanny, tarasy w kwiatkach i światłach, strzeliste góry, pola pełne zbóż, które tutaj nie rosną, białe przystanie, ciche wioseczki i leśne świątynie, zębate fortece na granicy z pustynią, wszyscy zobaczyli wspaniałe tysiąclecia walki, potęgi i dobrobytu. I zobaczyli je w mgnieniu oka. W dłoni Pani zmaterializował się kształt. Rzeźbiony trzon z czarnego metalu, a na nim grot włóczni z jaśniejącym emblematem smoka. Pani pochyliła głowę w ukłonie, wręczając Sefresowi Draig-a-Haearn, który także w końcu powrócił do domu.

Wszyscy obecni uklękli. Sefres zaś wstał z klęczek i odwrócił się do sali. Byli połączeni, wiedzieli co czuje. Zmęczenie. Nadzieję. Wzruszenie. A wszystkie te uczucia wprawiały go w zdumienie, bo nie sądził, by dane mu było jeszcze kiedyś ich doznawać.

- Nasze ojczyzny zostały za nami. Martwe lub obce. Tę zbudujemy od nowa. Sława Nowej Styrii!!

Mury elfiego pałacu ugięły się pod potęgą tego okrzyku.

*Podwaliny.*

- To nie będzie łatwe.

- Wiem – ocieniona szkarłatnym kapturem twarz Pani była nieprzenikniona – Ale innego wyjścia nie mam. Dam im szansę i poproszę, by oddali to, co moje.

Przed nią, na kamiennej ławie leżał medalion wielkości dłoni, z metalu, w którym przeplatały się różne warstwy i odcienie, informując, że przetapiano go z innych kształtów. . Gdy przybliżyła do niego rękę, rozjarzał się światłem i wydawał się zatracać swoją materialną formę, a ludziom obecnym w pokoju niewidoczna i niesłyszalna fala zatykała uszy tak, jak przy wchodzeniu na duże wysokości zdarza się w górach wędrowcom.

- Zdaję sobie sprawę, że wojna z Ofirem to nie jest to, czego w tej chwili potrzebujemy i przysięgam Wam, że to ostatnia wojna, do której was nakłonię. A ja dotrzymuję swoich obietnic.

Obecni kiwnęli głowami.

- Chcemy zrozumieć, Pani – odezwała się w końcu Enid, wprost i z mostu, jak to miała w zwyczaju – Widzę to i rozumiem, ale nie umiem nazwać, to dla mnie trudne.

- Taaaak – mruknął siedzący u stóp Tavar Durgh – to jest trudne, ale idzie się przyzwyczać.

- Nauczysz się – odpowiedziała Pani – To przyjdzie do ciebie samo. Ale mnie tu już nie będzie z wami. Wszechrzec jest nieskończonością strumieni, w których rodzą się i znikają wszechświaty. Każdy składa się zaś ze światów, a te z płaszczyzn, jak winorośl składa się z pędów, liści i gron, a te – z pojedynczych owoców. Jedne zaś wpływają na drugie, nie ma owocu bez tego, co stworzą pędy i gałązki. Wasza rzeczywistość jest owocem. W sąsiednich płaszczyznach żyją istoty, które mają moc kreacji, wpływają i tworzą z nicości materię i energię. Jak ja. Wy zaś macie jedynie moc przeobrażania, którą nazywacie magią. Będąc tutaj, nie mam możliwości kreacji w takim wymiarze, w jakim jest mi dane. Muszę więc odejść tam, gdzie egzystują istoty, które wy nazywacie bogami, po to, by móc właściwie wpływać na ten świat. Żeby to zrobić, muszę... być kompletna.

- Pani, większości z nas przywróciłaś życie – odezwał się Tiamat – Nie musisz nas przekonywać o swojej potędze, ale jak mamy podbić Ofir, gdy jest nas tak niewielu...?

Tavar uśmiechnęła się w ich jaźni.

- Będzie nas więcej. Nie powiedziałam, że tutaj nie mam mocy wcale.

- A inni? Inne kraje. Elfy tylko czekają, żeby rzucić się na nas. A armie Ofiru były w stanie powstrzymać potęgę Wergundów, mury ich twierdz są kamienne i niezdojbyte, nikt nigdy nie pokonał całego Ofiru. A przecież cały Ofir stanie razem przeciwko nam. - Nic nie uczynią, Inubisie. Nic. Po tym, co pokażecie światu, ani Ofir nie stanie przeciwko nam, ani inni nie staną za Ofirem. Zaufaj mi. Czy to wystarczy?

Poprowadzę was. Potrzebujemy mocy intersekcji w Telfambie, potrzebujemy tej energii. Mając ją, będę w stanie powołać do życia dość zastępów, by pójść na dwutysięcetnie mocarstwo. Magowie, którzy pójdą za mną, będą niezwyciężeni. - Pani, chcesz inwazji na Telfambę, podczas gdy ledwie dotychczas udawało nam się obronić zdobyte tam czystym farterm przyczółki... – odezwał się Ostin, objawiając jakże wergundzką tendencję do taktycznej analizy sytuacji - Elfy są potęgą, Pani. Laro posługują się mocą wspólnej duszy plemienia, trudno nam, ludziom, z nimi walczyć. Nie boją się umierać, nie istnieje dla nich pojęcie niskiego morale, walczą do ostatniego o każdą, nawet straconą pozycję, przez co nasze straty nawet w zwycięskich potyczkach są ogromne. Walka o Telfambę wielu z nas kosztowała życie. Nawet jeśli zdobędziemy dostęp do intersekcji, Laro nigdy nie odpuszczą i nigdy nie ustąpią.

- To prawdziwie inspirujące, nieprawdaż? – Tavar uśmiechnęła się, a większości zgromadzonych zrobiło się zimno – To wspaniałe, że śmiertelne istoty są w stanie z taką determinacją walczyć o to, co uważają za swoje. Odbierzcie od nich tę lekcję – spoważniała – A potem odbierzcie im fortecę. Na chwilę, na tak długo, jak zdołacie ją utrzymać. Będzie naszym podwójnym narzędziem, dostarczy energii, której potrzebuję, a później... Później stanie się katalizatorem, rozsądkiem tej choroby, która toczy tę rasę. I to będzie kolejna z waszych lekcji. Nie zdołamy pokonać elfów. Ale Telfamba sprawi, że zniszczą się same.

Zamilkli, chociaż nie powiedziała niczego, czego by nie wiedzieli. Choć może nie umieli nazwać. Wielu z nich spędziło tygodnie wśród elfów pod Telfambą i odczuwali boleśnie to dziwne uczucie, którym nawzajem darzyli się Laro i Aenthil. Najbliższym do tego określenia bywało słowo "nienawiść".

Milczenie przerwał Ostin.

- Zdobędziemy Telfambę – oznajmił lakonicznie i rzeczowo – Nasza motywacja dorównuje elfiej, a siła twoich dzieci przewyższa wszystko, co mogą Laro. - Moja moc przewyższa także wszystko, co może ich t'antsan – przypomniała Tavar – Nie będziecie pod Telfambą sami. Nigdy i nigdzie nie będziecie już sami.

- Pani, ale czy korzystanie z twojej mocy nie osłabia ciebie? Może powinniśmy czerpać z żywiołu, tak jak nas uczono – zaniepokoił się Tiamat, choć zanim skończył mówić, zrozumiał, że ... rozumie, tylko nie umie tego nazwać. Ona umiała.

- Każda istota, której udzielam energii, czyniąc magię, pośle tę energię dalej, w ten świat, w tą ziemię. W ten sposób dajecie mi oparcie, jak skoczkowi, który może się wysoko wybić. By będąc tam, w płaszczyźnie waszych bogów, móc skutecznie oddziaływać tutaj, muszę mieć jak najsilniejsze powiązanie z tą rzeczywistością. Rozumiesz? Każda z istot, które nazywacie bogami, czerpie z tego, że istoty ją czczą i jej energią czynią magię. Gdy brakuje wyznawców, bóg nie umiera, ale traci powiązanie z tą płaszczyzną, traci grunt. Nas jest mało, zaś potrzebujemy wiele siły. To zatem jest prawo Nowej Styrii – czcicie, kogo chcecie i szanujcie każdego boga i żywioł. Ale magię czyńcie tylko przeze mnie.

Odchodzili po kolei, z głębokim ukłonem, odchodzili pełni siły, ale i obawy, którą się dzielili, oni, podobnie jak jej dzieci – ulundo, na zawsze związani ze sobą nawzajem wspólną świadomością. I z nią, która była ich oparciem w strumieniu czasu.

Ostatni wychodził książkę Sefres. Zamiast ukłonu, zatrzymał się w drzwiach i po chwili milczenia zapytał:

- Zaciekawiasz nas, Pani. Czym tak zadziwisz nasz świat, czym bardziej niezwykłym niż dotąd, że krainy nie rzucą się na nas i nie zgniotą?

- Widzisz, arcyksiążę... Muszę odejść z tej płaszczyzny także z jednego powodu – Sefres poczuł w głębi czaszki lekko straceńczą radość, którą czuje ktoś, kto rzuca silniejszemu wyzwanie. Słuchając słów Pani miał wrażenie, że używa swojej twarzy jej uczuciom, którymi emanowała – W tej płaszczyźnie każdy jest śmiertelny. Każdy. Także istoty... podobne do mnie. Takie, które nazywacie bogami. To jest dla mnie największe zagrożenie. I jednocześnie największa szansa. To będzie ogromne ryzyko. Ale zaufaj mi raz jeszcze.

- Ufam ci, Tavar – uśmiechnął się tym razem swoim własnym uśmiechem – I rozumiem, ale wciąż nie umiem nazwać.

Sefres przypomniał sobie tamtą chwilę. U jego stóp rozciągał się dymiący czarno krater. Na dnie wciąż płonął ogień, a ostro opadające w dół ściany szklily się stopioną krzemionką. Miał ochotę się roześmiać, a dla człowieka, który kilkakrotnie przeszedł przez śmierć jest to doprawdy egzotyczne uczucie. Tak – pomyślał – Po tym widowisku nawet cesarskie gwardie uciekłyby w popłochu. To było przedstawienie. Jeszcze kilka tygodni wcześniej sam miał wątpliwości. Podobnie jak Pani uczył się dopiero tego świata, ale wiedział doskonale, że nie sprostają militarnie zjednoczonej armii Wielkiego Ofiru. Należało zatem zrobić wszystko, aby nie stanęła przeciw nim taka armia.

### *Pozory.*

Ściana jurty była gruba, ale nie na tyle, by stłumić dźwięk dochodzących rozmów. Tym bardziej, że Viron Rediel z rozmysłem mówił głośno i wyraźnie, tak, aby słuchającym nic nie umknęło.

- Tak wielka szansa, szlachetna kagani, może nie nadarzyć się prędko.

- Wiesz, że nie jest rzeczą rozsądną grozić Samnijczykowi w jego własnym namiocie? – odpowiedziała Mira Śnieżna, lekko rozbawiona sytuacją – Twoje szczęście, posłańcze, że nie ma tu okien.

Viron pozwolił sobie na spektakularne zagranie. Przyklęknął i wyjął sztylet, odwracając go rękojeścią do władczyni.

- To prawda, że twoi strażnicy nie mogą wyrzucić mnie przez okno, ale rozporządzaj moim życiem jeśli cię uraziłem.

Drgające w uśmiechu kąciki ust Samnijki zwiastowały, że zagranie było bezpieczne. - Wstań. Żyjesz, więc mnie nie obraziłeś. Ale – kagani spoważniała – miła konwersacja z tobą nie przekonała mnie i nie przekona. To prawda, że potęga Ofiru nie jest nam przyjazna, jednak twoja pani jest istotą... której nie rozumiem i nie znam. Nie, odmawiam tego sojuszu i nie ruszę ponownie na Arethyne. Ale – Mira wstała z okrytego futrami fotela, na którym siedziała, wyraz jej twarzy zmienił się w ułamku sekundy, Vironowi wydawało się, że patrzy na drapieżne zwierzę – Ale powtórz swojej pani, że jeśli wasze zastępy nie zatrzymają się przed północną granicą Arethy, ściągnę wam na głowę orde, jakiej świat nie widział i odeślę waszą boginię w otchłanie Szaelu. Czy to jasne?

Dużo wysiłku zabrało Vironowi zrobienie miny, będącej mieszanką rzekomego gniewu i strachu. Złożył ukłon i odprowadzany spojrzeniami gwardzystów wyszedł z jurty. Zanim przekroczył próg, z satysfakcją złowił uchem szelest trawy, deptanej przez pospiesznie oddalające się stopy. Z tej samej strony namiotu, z której chwilę wcześniej usłyszał pełne przejęcia szepty.

Jeszcze tej samej nocy, cztery mile na północ, przy skalnym uroczysku, spotkał się z Enid.

- Wszystko jak po sznurku – odpowiedział na jej nieme pytanie – Dużo pracy zajęło nam zorganizowanie tego polowania akurat w tym miejscu, ale wszystko udało się idealnie.

- Wszyscy widzieli? – Enid poświęcała sprawie tyle uwagi, ile było konieczne, reperując jednocześnie sprutą nitkę przy klamrze na pułisku strzemienia.

- Widzieli dokładnie ci, którzy mieli widzieć. Czyli ci, którzy są na liście płac szefa wywiadu Arethyny – uśmiechnął się Viron – I jestem absolutnie przekonany, że najdalej za cztery dni informacja, że Samnia sprzymierzyła się z nami i uderzy z północy, będzie recytowana do ucha Darcjana.

- I jesteś pewien, że usłyszeli to, co mieli usłyszeć, a nie to, co Mira odpowiedziała?

- Jestem pewien. Podszuchujący tak szybko wiał spod namiotu, że nawet nie chciało mu się tłumić kroków. W piętnaście minut później zniknęły dwa z kniaziowskich bachmatów. Nikt ich nie dogoni, a żeby dopuścić się kradzieży, musieli mieć potężną motywację. Cóż, nasza pani jest doprawdy mistrzynią iluzji, a miejsce przygotowaliśmy idealnie pod działanie jej mocy. Niezłe przedstawienie.

- Niezłe? – Enid schowała do sakwy dratwę i zapięła pas, dopasowując długość. Przez chwilę mocowała się ze strzemionami, poprawiając raz jedno, raz drugie, po czym ze zniecierpliwieniem zakłęła pod nosem, stanęła przy końskiej szyi i mocnym wymachem nogi wybiła się na siodło. Wierzchowiec prychnął, niezadowolony – Niezłe przedstawienie nas niestety ominie – dokończyła, dociągając porządnie strzemiona - Słyszałam, co Tiamat i Era szykowali w Akwirgranie, z użyciem zdolności Maszy....

- Opowiadaj!

- Po drodze. W koń!

### *Powiernik kryształu i medium.*

Olaf Szalony zmienił się bardzo od młodzieńczych czasów, spędzonych w lasach Tryntu. Blond włosy w okolicach skroni zmieniły odcień ze słomiano-złotego na biało-srebrzysty. Broda zrobiła się nieco bujniejsza. Twarz była poznaczona głębokimi zmarszczkami i jedną sporą blizną w poprzek ust, podobno po cięciu miecza, które złamało mu też ząb. Wysoka postać księcia północy obecnie była nieco przygarbiona i często zdarzało mu się podcierać ciężącą mu głowę. Ale w oczach, spoza wyraźnego zmęczenia wychylały się te same co zawsze kur...dupelkowate chochliki. To był prawdopodobnie powód, dla którego mówiono o nim "ulubiony Tryntyjczyk Wergundów". Rzeczywiście, pomimo krążących po kraju plotek o jego chorobie, pomimo napadów szału, w trakcie których zdarzało mu się losowo zepsuć lub zburzyć coś cennego, Wergundowie uwielbiali swojego księcia-protektora. Witali owacyjnie jego pojawienie się tak w stolicy, jak i miasteczkach prowincji, gdzie często bywał. W zimie, w dzień jego urodzin urządzano huczne imprezy w formie ulubionej przez władcę, towarzyszyły im polowania, zawody strzeleckie i trwające długo w noc ogniska ze śpiewami. Jedyne, czego poddani nie mogli władcy wybaczyć, to tego, że chociaż minęła mu już czwarta dekada życia, wciąż się nie ożenił.

Poddani nie znali jednak prawdziwej przyczyny tego stanu rzeczy, tak jak nie znali przyczyny napadów szaleństwa elmerykowego syna. A był to ten sam powód i księżę północy nosił go zawsze przy sobie, zawieszony na wykonanym ze skomplikowanego stopu metali łańcuszku na szyi. Powód ten towarzyszył mu każdego dnia od 22 lat. Ale nadchodzący dzień był właśnie ostatnim. Szambelan

dworu nigdy by nie pozwolił na taką audiencję bez zapowiedzi i to w dodatku w sali tronowej książęcego pałacu w Akwirgranie. Ale gdy pojawiła się wysłanniczka, Olaf sam wydał taki rozkaz. Bo tego zażądała.

Gdy w sali zdążyli się zebrać wezwani dostojnicy, dowódcy armii i kapłani, zasiadając w rzeźbionych ławach po bokach sali, a Olaf na książęcym fotelu, ona weszła na środek sali w szpalerze gwardzistów. Na ulicy nikt by nie zwrócił na nią uwagi. Szara suknia z kapturem kryła miedzianorude włosy, a pochylona skromnie głowa i opuszczony wzrok dobrze maskowały rolę, w jakiej się tu pojawiła. Rolę wysłanniczki nowego bóstwa. Głos, który rozległ się na środku sali, był niepozorny jak ona i wzbudził szmer oburzenia w ławach wielmożów.

- Olafie, masz coś co nie należy do ciebie – powiedziała Masza – Moja pani jest ci wdzięczna za opiekę nad tym przez tyle lat, sądzi także, że dar ów przyniósł ci także wiele korzyści.

Książę ciężko oparł czoło na dłoni. Wydawał się przytłoczony. I milczał.

Najważniejsi ludzie Wergundii nie milczeli. Sala tronowa dawno nie widziała tak zbiorowego łamania etykiety, gdy jeden przez drugiego zaczęli wyrażać swoje zdziwienie i oburzenie. A potem wszyscy zamilkli.

Masza uniosła ręce. Łańcuszek na szyi Olafa zatrzepotał, wrywając kryształ spod płaszcza. Kryształ zawirował w powietrzu, zaciskając metalową pętlę wokół szyi władcy i zrywając go z tronu. Olaf, charcząc i rozpaczliwie szarpiąc łańcuch, uderzył o posadzkę. Masza machnęła prawą dłonią i podbiegający gwardziści i urzędnicy uderzyli z rozmachem o ścianę za tronem. Ruszyła palcami lewej dłoni i kryształ popłynął w jej kierunku, wlokąc po podłodze duszącego się człowieka. Podniosła kryształ na wysokość swojej twarzy i opuściła tak, by Olaf dotykał podłogi kolanami, jakby przed nią klęczał.

- Pani jest ci wdzięczna, Olafie. Ta wdzięczność jest rzeczą cenniejszą, niż przedmiot, który ci odbiera i będzie mieć wpływ na decyzje Pani w przyszłości, te decyzje w każdym razie, które tyczyć będą obydwu twoich ojczyzn. Miej na to wzgląd. Szczególna więź, jaka łączy cię z Panią, jest wieczna. Pani liczy na to, że będziesz o tym pamiętać. Zawsze.

Łańcuch przy kryształach pękł z dźwięcznym brzdęknięciem, Olaf upadł twarzą na podłogę z dłońmi u szyi, desperacko próbując łapać powietrze przez zgniecioną krtani. W sali zapadła niespodziewana cisza, przerywana tylko świstem jego oddechu. Masza rozejrzała się, czy wszyscy dokładnie widzą księcia protektora Wergundii, niemal dotykającego czołem jej butów. Zwłaszcza interesowało ją, czy widzą doskonale ci, o których było wiadomo, że wysługują się wywiadowi Itharos i czy z ich strony wygląda to jak sugestia, kto od tej pory będzie rządził tym krajem. Stojących w narożnikach sali w równie niepozornych strojach jak ona sama Tiamat i Era dostrzegli umówiony ruch. Oczekali, aż Masza spokojnie i dostojnie wyjdzie z niesionym w dłoni kryształem, który już zaczynał promieniować błękitnym światłem, odczekali aż światło stanie się odpowiednio mocne, emanując ogromną energią, uruchomili przygotowany poprzednio rytuał otwarcia portalu... I zdjęli zaklęcie blokujące wszystkich obecnych na sali.

Po czym rozpląnęli się w powietrzu w pachnącym ozonem rozbłysku.



## *Objawy choroby.*

To była wyjątkowa Eailinge. Wyjątkowo smutna. Nie, nie dlatego, że po raz pierwszy od kilkuset lat nie odbywało się w białych pałacach Aenthil. Taki moment następował już wiele razy, licząc od mitycznego Przebudzenia, poprzez sześć epok dziejów ich ludu. Świadomość, że nic naprawdę nie jest wieczne i kiedyś trzeba będzie odejść, była częścią elfiej mentalności. Na tej Eailinge poznawali zupełnie inną stronę swojej mentalności i to właśnie napawało ich smutkiem. W każdym razie tych, którzy umieli to dostrzec.

Pałac w Aenthil był przystosowany do tego rytuału. Ponad dwadzieścia sal o okrągłych ścianach i opadającej ku centrum podłodze, czekało na przedstawicieli kast, którzy zasiadali na rzeźbionych ławach wśród kwiatów i rozpoczynali obrzędy. Z położonego pod pałacem źródła intersekcji płynęła energia, z której korzystano by przywołać przodków i moce ei. Ci, którzy nie mieli tego zaszczytu, by uczestniczyć w naradach zgromadzeń kastowych, gromadzili się na okalającej cały kompleks arkadowej galerii, skąpanej w pnączach powojnika i przy szmerze fontann i strumyków, spływających przy ażurowych filarach, rozmawiali o tym samym, o czym dostojnicy w salach zgromadzeń. W niektórych salach panowała absolutna cisza – wielu posługiwało się telepatią, w innych znowu płynęły pod sklepienie głośne dźwięki pieśni czy okrzyków. Wreszcie gdy nadchodził czas, w korytarze, prowadzące do głównej, centralnej sali, wchodzili wybrani przez kastę przedstawiciele i właściwa Eailinge się zaczynała... W ten sposób w salach, korytarzach i galeryjkach pałacu w Aenthil zacieśniała się i kwitła wspólnota ludu elfów.

Tutaj, na wygnaniu, wszystko było inne. W cieniu Deszczowych Gór nie było kolistych sal pałacowych, był fort i świątynia z ciemnego kamienia, i skromny, leśny dwór, okolony pięknym ogrodem. Kasty radziły pod gołym niebem, zważywszy na to, że wszystkie utraciły większość przedstawicieli i zgromadzenia były nieliczne, nie było to wielkim problemem. Ani to, że w Hehtanore nie było intersekcji, w oparciu o którą mogliby milcząco dzielić się wiedzą i mocą. Nie było nawet problemem to, że niemal każdy z uczestniczących w zgromadzeniach i z tych, którzy gromadzili się w ogrodach wokół, jak niegdyś na galeriach – nosił znaki żałoby po kimś bliskim.

Eailinge wybrała nowego władcę. Nie było hucznej fety, girland kwiatów ani magicznych ogni. Pani Helethai przeszła do świątyni w uroczystym orszaku, w lśniącej perłami sukni, na której przypięła granatową szarfę. Znak żałoby po ojcu. W świątyni odebrała z rąk dostojników Eailinge buławę książęcą i przejęła na siebie wszystko to, co przez poprzednie lata było obowiązkiem jej ojca. A oprócz tego wzięła na siebie całą rozpacz i smutek swojego ludu. I to, co przyszło wraz z rozpaczą, a co Helethai z wrodzoną kaście Tulya intuicją doskonale dostrzegą.

Zgromadzenia kastowe, pomimo zakończenia Eailinge, trwały jeszcze długo. W ogrodach dworu w Ilweran długo rozmawiano, komentowano i kłócono się.

Tirianus Taeleth przybył spod Telfamby, by zdać sprawę z tego, jak utracili fortecę. Wysłuchali go wszyscy z kasty Tulya, oraz kapłani i uzdrowiciele Silvy, a potem wszyscy zgromadzeni z panią Helethai na czele.

Lily przybyła z południa, znad granicy, na której zatrzymała się Tavar, wraz z wieloma Otath, którzy walczyli tam o każdy fragment lasu i każdą samotną skałę. Przybyli wzywać do walki.

Przybyli także mistrzowie łuku, wśród których był Shay Idril, tropiciele, magowie Vayle i magowie żywiołów, kapłani i druidzi. Przybyli wzywać do odbudowy.

Aerlinn wraz z uzdrowicielami z kasty Tavaenien znikąd nie przybyli. To uzdrowicielki z zakonu Silvy stworzyły to miejsce, gdy upadło miasto, i sprowadzały tutaj każdego elfa, który zdołał uciec z piekła, w jakie Tavar zamieniła ich dom. Ten fort pod Ilweranem był od dawna punktem zbornym, gdzie urządziły szpital i miejsca dla powracających do zdrowia. Leczyły tutaj poranionych w walce z ulundo, ale przede wszystkim odbudowywały mozolnie tych, którzy dostali się pod wpływ Puszczy jeszcze gdy nie panowała nad zmienianą materią, w sensie fizycznym i psychicznym. I była to praca, która naprawdę wymagała łaski Silvy, a tego właśnie wcale nie miały pod dostatkiem. Ona sama zresztą została cudem odratowana, gdy wróciła z wyprawy w Góry Mgieł, zarażona śmiertelną chorobą. Spędziła tygodnie w nieprzytomnej malignie, szamocząc się ze wspomnieniami, koszmarami i urojeniami. Ale ofiarowano jej zdrowie. Zupełnie, jakby bogini uznała, że ten akt łaski będzie w jakiś sposób ważny, jakby ocalona od trądu Aerlinn miała wynagrodzić dzieciom lasu brak uwagi ich bogini. Ona, lub ten, który został uzdrowiony z tej samej choroby wraz z nią.

Onfis in'Tebri przybył z Gór Mgieł, dokąd udał się był po wielotygodniowym leczeniu przez kapłanki Silvy z trądu, którym porażono go przy ostatnim starciu z ludźmi Tavar. Wrócił z rodzinnego majątku in'Tebri, gdzie zgodnie z tradycją pochował ojca. Symbolicznie, bowiem podobnie jak wszyscy pozostali poległ w obronie miasta, ciało dyplomaty spoczywało pod gruzami murów w odległej... bardzo odległej już, puszczy. To, co Onfis odnalazł w Górach Mgieł, w połączeniu z tym, co utracił przez poprzednie lata, sprawiło, że szpieg i zabójca bez sumienia i ojczyzny... stanął przed zgromadzeniem, gotów przejąć schedę po ojcu. Kiedy sam się potem nad tym zastanawiał, nie miał pojęcia, jak wpadło mu do głowy, że ktoś, kto służył władcom ludzi jako płatny zabójca, zostanie przyjęty z otwartymi ramionami. Nie został. To była długa i bolesna noc, zwłaszcza, że przypomniła Onfisowi, przed czym loa temu uciekł do świata ludzi.

Chłód nocy i sielankowy widok rozświetlonego ogrodu pozwolił mu odetchnąć, gdy wyszedł z placu zgromadzenia kasty Tulya.

- Zakończyłeś swoją spowiedź? – zagadnęła Aerlinn. Albo tu czekała, albo jakimś szóstym zmysłem wyczuwała jego obecność. Onfis uśmiechnął się na wspomnienie tej krótkiej chwili, gdy sądzili, że są rodzeństwem.

- Nie sędzę, żeby było to kiedykolwiek do zakończenia – mruknął – Zbyt wiele punktów etykiety złamałem w swoim życiu, a powrotów nie przewidują żadne rytuały.

- Mówi przez ciebie zgorzknienie – intuicja i empatia były ważnymi cechami uzdrowiciela, a Aerlinn była dobrym uzdrowicielem – Formy, rytuały, etykiety, tak, są dla nas ważne, ale nie najważniejsze, forma nie jest ważniejsza od treści. Muszą tylko się przekonać, że twoje intencje są czyste.

- Więc muszę udowodnić, że nie jestem ukrytym agentem Tavar, czy może Olafa, że nie zamierzam nikogo zabić na niczyje zlecenie, jak, u ciężkiej cholery, mam to udowodnić?

- Onfis – elfka uśmiechnęła się z pobłażaniem, a Onfis znów pomyślał, że mogłaby być jego starszą siostrą – Roileś sobie, że staniesz przed wszystkimi zbrojny w zasługi swojego ojca i wszyscy po prostu uznają, że jesteś nim samym. Sądziłeś, że skoro on mógł być wybrany przez Eailinge, to dla czegoż nie ty. Nie jesteś swoim ojcem, Onfisie, masz własne przewiny, które musisz odpokutować, zanim zasłużysz na to, na co on zapracował całym swoim pełnym poświęcenia życiem. Ale – kontynuowała, nie dając mu protestować – Ale właśnie ponieważ nie jesteś swoim ojcem, masz zalety, których on nie miał i jeśli uznasz, że chcesz te zalety, talenty, umiejętności poświęcić dla naszego wspólnego celu, to następna Eailinge uzna ciebie w twojej osobie, nie zaś syna wielkiego Doriana in'Tebri.

Ponieważ nie mógł znaleźć sensownej odpowiedzi, Onfis poburczał przez chwilę pod nosem, zbierając się do protestu przeciwko sugestii, że ma cokolwiek do odpokutowania. Ale nie zdążył.

Ogrody przed dworem w Ilweran rozbrzmiewały szmerem rozmów i pieśni, a przez ten jednostajny szum w tej chwili przebił się czysty i jasny dźwięk rogu. Jeden. A potem kolejny i kolejny, coraz głośniejszy, wraz ze zbliżającym się konno orszakiem. Poprzez szpaler zdziwionych i przejętych elfów wjechał oddział uzbrojonych po zęby Laro. Mijając Aerlinn i Onfisa jedna z jadących machnęła do nich ręką i radośnie się uśmiechnęła.

- Nila – stwierdzili fakt równocześnie, idąc w kierunku zbierającego się tłumu.

- Suilanyel, Aentil'quende! – prowadzący oddział zatrzymał się pozdrawiając wszystkich. – Zwołajcie zgromadzenia, mamy wieści.

Gdy potem obecni tej nocy w Ilweran wspominali wydarzenia, nie zastanawiali się, jak do nich doszło. Bo to był tak naprawdę najbardziej logiczny rozwój wydarzeń. Wszystko przez ostatnie miesiące prowadziło do tego momentu.

Na wezwanie wysłanników t'antsan Savry w świątyni zebrały się zgromadzenia, tworząc coś w rodzaju wielkiego Eailinge. Laro dołączyli do niego ze znamiennym zgrzytem żelaza o kamienne ławy. Wszyscy nosili stalowe naramienniki i elementy zbroi na ciemnych, warstwowo nakładanych kimonach, a szable nieśli w dłoniach, ceremonialnie kładąc je na kolanach po zajęciu miejsca. Wszystkie twarze posłów zdobiły wyraźne czarne linie i kropki, na krawędziach wplatające się w gładko zaczesane w kok ciemne włosy. Tylko u Nili falujące wokół twarzy kosmyki były wyraźnie jaśniejsze niż czarne tatuaże.

- Wieści, jakie przynosimy z pola walki, gdzie zostało wielu naszych braci, są niezwykle doniosłe – zaczął Laro – Odzyskaliśmy twierdzę Telfamby.

Zapadła chwila ciszy, po czym nie bacząc na etykietę i obyczaje świątynna sala zaszumiała chórem zdumionych i przejętych głosów. Pani Helethai, po raz pierwszy jako przywódca swojego ludu, podjęła rolę, jaką ją obarczono. Uniosła dłoń i sala się uciszyła.

- To są niezwykle doniosłe wieści, zważywszy na to, że nie tak dawno wielu naszych braci oddało swoje życie w obronie Telfamby. Kiedy to się stało? Jak udało się wam odbić fortecę, skoro podniesione są mury?

- Tulya'Helethai – Laro uklonił się głębokim ceremonialnym ukłonem – Nie odbiliśmy fortecy. Ulundo i ludzie opuścili ją sami, a wysłannicy Tavar poinformowali nas, że oddają Telfambę dobrowolnie.

Jeszcze zanim skończył mówić, Helethai wstała, podobnie jak większość obecnych.

- To jest wiadomość niezwykle doniosła – księżna była dyplomatką, wiedziała aż za dobrze, że pytanie, jakie zada, będzie czysto retoryczne, wiedziała też, jakie będą tego skutki. Ale musiało zostać powiedziane to, co powiedziane być miało – Rozumiem, że t'antsan przysłała was tutaj, aby oddać nam sprawiedliwie fortecę i ziemię wokół niej?

Laro wyprostował się jak struna i w zapadłej ciszy twardo odpowiedział: - Nie, pani. Telfamba to nasze rodzime ziemie i broniliśmy ich, zawsze, niezmiennie i bez wątpliwości. Czego nie można powiedzieć o wszystkich obecnych tu Aenthil. T'antsan zdecydowała łaskawie o otwarciu bram fortecy dla waszych magów. Ostatnie słowa Laro musiał wykrzyknąć, żeby zostać usłyszonym.

- To jest zdrada! Dogadali się z mutantami! To jest cios w plecy! – krzyczano z sali. Księżna usiadła z westchnieniem, dając tym samym sygnał, że rozmowy mogą prowadzić wodzowie kast. Nie słuchała dokładnie tego, co się działo. Tulya są doskonałymi obserwatorami i znakomicie rozumieją skomplikowane interakcje między istotami. Helethai doskonale wiedziała, co zostanie powiedziane. Wiedziała, że w odpowiedzi na zarzuty sprzyjania Tavar i niejasnych postępów będą musieli odpowiedzieć oskarżeni, przede wszystkim księżę in'Tebri, aspirujący do bycia przywódcą swojego rodu, ale także inni weterani spod Telfamby, splamieni pomyłką, w którą zwiódła ich Tavar, mistrzyni iluzji. Lili z Othathyaro. Keledi. Shinji. Shay Idril. Ci, którzy sami czują się winni, będą atakować najostrzej, by odsunąć od siebie podejrzenie zdrady. Wiedziała, że tym samym dyskurs znacznie się zaostrzy, bo Laro zostaną obrażeni sugestią sojuszu z Tavar i odgryzą się, zarzucając Aenthil słabość. Spodziewała się, że Othat odpowiedzą na to równie twardo, na granicy wszczęcia awantury na ostre, ale wiedziała też, że obecna na sali najwyższa kapłanka Silvy zmityguje wojowników z pomocą Tirianusa, niewielkiego posturą, ale o wielkim posłuchu i dzięki nim pozostaną tylko urazy, a nie rany cięte. To, czego nie spodziewała się i zaobserwowała z zaciekawieniem, to była rozmowa jednej z Laro z Onfsem, jaką stoczyli, przekrzykując awanturę.

- Co ty robisz! – krzyczała Laro – Niszczysz wszystko, o co twój ojciec walczył całe życie! Nasz, do cholery, ojciec! Zamiast walczyć z Tavar, chcesz walczyć z nami??

- To, o co walczył, leży w gruzach od dawna – odwarł księżę in'Tebri – Całe Aenthil leży w gruzach, a wy po nim depreczecie! Chcecie wydrzeć swój kawałek sukna, który Tavar rzuciła wam jak ochłap psom!

- Nie pleć głupstw! Przecież nie zamykamy przed wami fortecy! Przecież nie zaprzestaniemy walki!

- Próbowaliście mnie zdyskredytować, wspominając to nieszczęsne poparcie dla Tavar, jakiego jej udzieliłem i które przegrałem wówczas. Nie daliście mi wyboru. Wtedy i teraz chodziło o Aenthil, ono jest najważniejsze.

- Teraz na to wpadłeś, po latach wysługiwania się i mordowania na zlecenie?! - To nie jest twoja sprawa!

- Przestańcie – to była uzdrowicielka, Aerlinn kasty Tavanien, księżna przypomniała sobie, że in'Tebri niedawno ogłosili rytualne przyjęcie jej do rodu – Niszczycie wszystko, co dopiero odzyskaliście!

- Nie mam wyboru – odpowiedział – Nie daliście mi wyboru! Żaden Laro nie powinien stąpać po naszej ziemi, dopóki przyjmujecie podarki od demona Tavar! – ostatnie zdanie wykrzyczał wracając w nurt głównej kłótni.

Tak, pomyślała Helethai, nowa władczyni ludu bez ziemi, tak, mamy więcej powodów do smutku niż utracone miasto. Zalęgła się nienawiść. I nic z tym nie da się zrobić.

Poselstwo Laro oczywiście opuściło świątynię w chwili, gdy kontynuowanie groziło rozlewem krwi. Byli jedynymi uzbrojonymi, a honor wymagałby od nich sprzecznych rzeczy – natychmiastowej reakcji na obrazę i nie atakowania bezbronnego. Zgromadzenia jednogłośnie zdecydowały o zerwaniu kontaktów z Laromatonem. I niejednogłośnie - o ogłoszeniu z nimi wojny. Jeszcze jakiś czas trwała głośna awantura, w której co chwila ktoś wyrażał oburzenie, wybuchał kolejną serią obraźliwych epitetów, kpiącym śmiechem, a potem znów oburzeniem. Po czym, przed świtem, wszystko ucichło, wodzowie kast powoli się rozchodzili. W sali zostali członkowie Eailinge. I na życzenie księżnej – Onfis in'Tebri,

- Tego wieczora chciałeś nas przekonać, Onfisie, że coś cię odmieniło i chcesz wrócić do swojego ludu. I nie miałeś nic, czym mógłbyś nas przekonać – zaczęła Helethai.

- Tulya'Helethai, to nieprawda, położyłem określone zasługi pod Telfambą...

- Tak, wiem. Próbując oddać mury w ręce Tavar.

- Nie wiedziałem wtedy...

- Wiem. Ale co uczyniłeś, to się nie odstanie. Podobnie jak to, co stało się przed chwilą. Twój ojciec, Onfisie, urodził się Othat, ale ze względu na swoje zdolności został Tulya. Ty porzuciłeś swoją kastę i swój lud, na własne życzenie przestając dla nas istnieć. Jeśli chcesz powrócić jako jeden z nas, będę wymagać od ciebie poświęcenia – Helethai pomyślała, że coś z intuicji dyplomatycznej Doriana jednak odziedziczył, gdy wyczuwając moment Onfis z rozmachem przyklęknął przed nią, odbierając rozkaz – Przejdziesz do kasty Lomin, to jest właściwie dla ciebie miejsce. I staniesz na jej czele. Tej nocy przekroczyliśmy granicę i nigdy więcej nie będziemy mogli liczyć tylko na miecz i łuk. Stworzysz nam oczy, uszy i sztylety. Twoi ludzie będą we wszystkich krajach, na wszystkich dworach, wliczając w to dwór Tavar i jej ożywieńców oraz sam Laromaton i dwór Savry. Będą dla mnie widzieć i słyszeć, a kiedy będzie trzeba, będą fałszować dokumenty, kraść lub zabijać tych, których wskażę. I będą robić to tak, że nikt ich nigdy nie schwyta i nie powiąże z dworem w Ilweran. To wiąże się z tym, że nigdy nie zostaniesz wybrany przez Eailinge. Ale zasiądziesz w niej do końca swoich dni i będziesz decydował o losach ludu, za który przyjmujesz odpowiedzialność. Czy przyjmiesz to brzemię?

Tak, pomyślał Sefres rozcierając na zębach gęsto unoszący się w powietrzu gryzący dym, ludzie tego świata wcale nie różnili się od ludzi ze Styrii. Odpowiednio zaprezentowane pozory wystarczały, by uzyskać pożądany efekt, a iskry skrzesane na becze prochu zawsze dają odpowiedni wybuch. Wystarczyło przekonać bratnie miasta, że uderzenie może przyjść ze strony ich dawnych wrogów, stworzyć iluzję, by nie skupili się na prawdziwym zagrożeniu i nie zjednoczyli swojej armii przeciwko prawdziwemu wrogowi. Przeciwnik zaś, który mógł zadać Styrii skuteczny cios w trakcie marszu na Ofir, skupił się na umiejętnie podsyconej nienawiści do własnych braci. Maskarada, pozory i iluzje. Choć sam przed sobą musiał przyznać, że nie wszystko w wydarzeniach ostatnich tygodni było tak przewidywalne. Żeby zadziwić człowieka, który przeszedł przez śmierć dwukrotnie, trzeba jednak nielicznych fajerwerków. Wręcz boskich.

### *Tavar pod Itharos.*

Na brzegu rozłożono namiot, nieduży, armia, która do wielkiej wojny przygotowywała się raptem dwa lata, nie była zbyt dobrze wyposażona. Żołnierze i ulundo spali pod gołym niebem lub naprędce skleconymi płachtami, na szczęście dla nich lato w Ofirze było upalne.

Mapa rozłożona była na deskach, z których naprędce sklecono blat, a które jeszcze kilka dni wcześniej były, zdaje się, stodołą. Sama mapa pozostawiała także wiele do życzenia, ale zawierała wszystko, co było potrzebne – dokładny bieg rzeki, północnej odnogi Sankary, którą Ofirczycy pieszczotliwie nazywali Sanaretą, i wszystkie położone wzdłuż jej biegu przeprawy i forty. Doskonale widać było na

niej, że cała zabudowa obronna Ofiru była budowana na wypadek inwazji z zachodu, przez wrota w Itharos. Obwarowania wewnątrz kraju były niewielkie, w większości zapuszczone lub pełniły role reprezentacyjne. Uderzenie przez miękkie podbrzusze giganta, od południa od strony Telfamby, było posunięciem najlepszym z możliwych, podobnie jak kolejne – zajęcie przeprawy przez rzekę w Carvenium. Pierwsza wielka bitwa, którą wygrali przez zaskoczenie, o kolosalnym znaczeniu dla morale, zwłaszcza tej ludzkiej części armii. Dalej przestało być tak różowo.

- Przed chwilą wrócili zwiadowcy – potwierdziła Enid to, co, wszyscy już od kilku chwil wiedzieli - Messyńczycy zablokowali drogę na północ, uzbroili przeprawę w Satrum – poparła informację wskazaniem na mapie. Wulfryk skrzywił się.

- No to utknęliśmy. Nie możemy uderzyć na Messynę, mając za plecami Itharos. Oblężenie potrwa minimum kilka tygodni, w tym czasie będziemy tu mieli na głowie i Messynę i Tulos, Korathia będzie później, bo będą musieli odbić Carvenium.

- Nie możemy utknąć pod Itharos – mruknął Lambert Ostin – Nie możemy, bo zostaniemy tu na wieki, a w końcu...

Przerwał mu głos, którego wszyscy serdecznie nie znosili, ale wiedzieli, że bywał głosem Pani.

- Itharos upadnie po dwóch dniach – powiedział Durgh, prorok Tavar, wchodząc do namiotu – Uderzaj na Itharos.

- Albo o czymś nie wiem, albo twój optymizm przekracza rozsądne granice – odpowiedział Ostin najspokojniej jak umiał – Itharos jest najsilniejszym z wszystkich miast Ofiru, rządzi nim Rania, stara baba o żelaznej woli, są uzbrojeni po zęby w maszyny bojowe, a do tego mają tam główną świątynię Izosa i jego kapłanów bojowych.

Durgh nie silił się na szczegółową odpowiedź. Za to spojrzał w oczy Lamberta bardzo, bardzo poważnie:

- Musisz zaufać Pani – powiedział – Uderzenie na Itharos jest konieczne.

Lambert jednak nie dał się spławić tak łatwo. Położył na ramieniu kapłana uzbrojoną w bojową rękawicę dłoń z takim ciężarem, że ten aż przysiadł.

- Bo? – Zapytał z naciskiem, nie opuszczając oczu przed wzrokiem świętego męża. Durgh za to opuścił wzrok. Przez chwilę patrzył w podłogę, po czym drgnął, oczy uciekły mu w głąb oczodołów, a ciało wyprężyło się w epileptycznym skurczu.

- Ty jesteś, Pani, opoką skrzywdzonych i tą, która otrze łzy rozpacz. Łzy wołały o pomstę i pomstę otrzymają z twojej ręki. Bo odplacono za wierność – zdradą, za miłość – nieczułością, na błaganiu odpowiedziano chłodem, a na nadzieję – milczeniem. Ty zaś jedna nie milczysz, gdy cię wzywają i nie zostawisz bez odpowiedzi wołania. Ty jesteś tarczą, na której spoczną dwanaście królestw, skąpanych w blasku odrodzonego słońca, w twojej łasce i w twojej opiece. Gdy bowiem dokona się zemsta i sprawiedliwość zaprowadzisz swoją ręką, ten, który był wzgardzony i odrzucony, stanie się kamieniem węgielnym twojej potęgi i rzuci ci pod stopy miasto niewierne.

W namiocie zapadła cisza, przerywana tylko ciężkim oddechem dochodzącego do siebie kapłana. Lambert Ostin uniósł brwi i westchnął:

- Na przyszłość będę pamiętał, by nie pytać cię o szczegóły....

Tę rozmowę w sztabowym namiocie przypomnieli sobie wszyscy tamtej nocy pod Itharos. Rozpoczęli oblężenie, zgodnie z poleceniem proroka, dwa dni wcześniej. Tamtej nocy nikt nie spał, prowadzono szturm za szturm, powietrze cięży płonące głązy, wyrzucane przez trebuszety na murach i wybuchające pociski miotane ze szczytu Izaionu, największej na świecie świątyni Izosa. Mówiono, że podobno mają postać drobnych jak piasek diamentów, które kapłani w jakiś niezwykle sposób ładują mocą boga i wysyłają ku zniszczeniu wrogów. Tamtej niezwyklej nocy była z nimi Pani. Nie wychodziła jednak przed szeregi walczących, jak zwykła to robić w poprzednich bitwach, jak zrobiła podczas bitwy o miasto na przeprawie przez Sankaretę, Carvenium, gdy jej obecność uskrzydliła wojska, choć nikt nie był pewien, czy to po prostu morale, czy też zaszczerpiła w ich umysłach zwycięstwo dzięki temu niezwyklej wspólnocie myśli, którą wszyscy byli powiązani. Tamtej nocy stała tylko w wejściu namiotu i milcząco wpatrywała się w opasane luną miasto. Wtedy znów pojawił się prorok. Szedł samotnie od strony miasta, najwyraźniej udało mu się dostać za mury dzięki któremuś ze swoich niezliczonych kontaktów. Długo szeptał coś przed nią, coś co zrozumieli dużo, dużo później. Po jego słowach Pani odeszła samotnie na pustkowie, widzieli tylko rozmazującą się w półmroku kobiecą postać. Gdyby patrzyli na nią dłużej, zobaczyliby jak kontur kobiety rozmazuje się, zmienia barwy, wyróżniając się od burego tła, rozpościerając coś na kształt skrzydeł czy szponów, drapieźny, opalizujący obłok nie do nazwania. Ale nie patrzyli za nią.

Durgh zebrał wszystkich kapłanów i dowódców Nowej Styrii i nakazał przerwanie szturm. Powinno się to skończyć awanturą, Ostin i jego ludzie, Wulfryk, Enid, wreszcie Inubis, Era i Tiamat nie powinni byli przyjąć tak absurdalnego polecenia. Ale przyjęli, bo wszyscy to rozumieli, choć nikt nie umiał nazwać. Prorok nakazał, by cała nowostyryjska armia przystąpiła do modłów. By odprawiono rytuały, tak liczne jak to możliwe. Dla Pani. Właściwie nie musiał tego mówić. Jednak pewnym zdziwieniem napełniło ich to, co powiedział później do Inubisa – zanim wstanie świt, do rytuałów dla Pani niech zostanie dołączony rytuał do Indry. Aby wstał świt.

Zaczęło się kilka godzin przed wschodem słońca. Niebo niespodziewanie zaczęło jaśnieć nad miastem, aż rozjarzone niespodziewanym światłem złocone dachy Izaionu zaczęły razić w oczy oblegających. Nie przerwali jednak rytuałów, nawet kiedy w ślad za światłem pojawił się dźwięk, niski, na granicy słyszalności, powodujący zawroty głowy i mdłości, a za nim podmuch gorącego wiatru, od którego zaczynały płonąć suche gałęzie w styryjskim obozie. Wszyscy lordowie Nowej Styrii, wszyscy, których niegdyś zabrała w niezwyklej podróż poza granice światów i czasów, wszyscy trwali wspólnie, połączeni z nią myślą i wolą. Choć w większości czuli się jak człowiek, który wątlymi ramionami podpira potężne drzewo i sam sobie wmawia, że to on trzyma je w pionie. Nie patrzyli oczyma, ale doskonale widzieli ten moment, gdy świetlista kula zstąpiła z niebios, parząc jej ludzką powłokę i paląc krwistoczerwoną suknię z kapturem. Jakże wątła się wydawała, w tej delikatnej kobiecej postaci, klęcząca z pochyloną głową, wspierając się dłońmi o piaszczystą glebę. Rozjarzona słoneczna pycha złapała ten haczyk. Świetlista kula nabrała kształtów, a ich wyobraźnia zwizualizowała ją jako potężnej budowy mężczyznę w ofirskiej zbroi. Gdy uniośł nad nią jaśniejącą tarczę i miecz, odczuli dokładnie jego niezachwiane przekonanie o własnej, niezwyciężonej potędze. A potem ona powstała. Wraz z nią powstała moc, na którą nie było określeń w ludzkich językach, żywioł, który był tu obcy i nienazwany. Mogła wydawać się ciemnością, nicością czy próżnią, ale nie była żadnym z nich. Powstała w postaci obłoku i uniosła się przed nim, potężna tak, że bóg słońca po raz pierwszy od kiedy narodził się ten świat, odczuł to, co było tak zwyczajne dla jego wyznawców – porażający strach. Bo rozpościerająca się przed nim przestrzeń, która była wolą, pochłaniała każdą cząstkę energii, każdą kandelę światła, którym promieniował, zaczynała otulać go i zgniatać. To, co nastąpiło dalej, nie zostało nigdy przez nikogo opisane inaczej niż "burza". Dla oka śmiertelnika była

to seria wielkich, jaśniejących daleko na równinie wybuchów, od których trzęsła się ziemia. Dla nich to była walka do granic ich wytrzymałości.

Zgniotła go tuż przed świtem. Gigantyczny wybuch wstrząsnął równiną. Ziemia zadrżała z taką siłą, że mury Itharos pękły w dwóch miejscach i zawaliła się jedna z bram. Dach Izaionu zapadł się wraz ze złotymi dachówkami. Idąca w ślad za trzęsieniem ziemi ogromna fala uderzeniowa zniszczyła wszystkie styryjskie namioty pod miastem, a także drewniane zabudowania sąsiednich osad i miasteczek. Ci nieliczni, którzy w tym pandemonium odważyli się pobiec na równinę, zobaczyli dymiący czarny krater, głęboki i ogromny, tak, że ledwie dostrzegli to, co działo się na jego dnie. Ale dostrzegli, bo ona wiedziała, że to, co im ukáže w tej wyjątkowej chwili, będą przekazywać sobie przez pokolenia jak najświętszą legendę. Więc zobaczyli znów postać smukłej kobiety, górującej nad czołgającą się w prochu postacią w ofirskiej zbroi. Ostatnie promienie jego umierającej świadomości oplotła czymś na kształt pnączy, jak mackami, które pochłonęły wszystko czym był. Uniosła ręce. Wstał świt.

Inubis zapalił świece i kadzidła przed ołtarzem odległego boga. Znad horyzontu wysunęła się słoneczna tarcza. Była czarna w środku, choć promieniowała światłem, bladym, zielonkawym i nienaturalnym. Pani trwała nad pokonanym wrogiem, który przestał istnieć. Śmiertelnicy milczeli i płakali, nawet ci, którzy nigdy nie darzyli miłością Izosa, nawet Styryjczycy. Nikt z nich nie odczuwał nigdy podobnej pustki i poczucia straty, zdawało się, że sama ziemia wyje z rozpaczy po tej tragedii. Jediną istotą, która znała to uczucie, znała je na wylot i doskonale, była ona sama.

Czarne słońce uniosło się na niebie, promieniując chłodem i trupim światłem. Oglądający śmiertelnicy nie byli potem w stanie określić, ile to właściwie trwało, ale ona wiedziała. Potrzebne były dwie godziny, żeby jej nadwyżone siły wspomogły powracającego z daleka gościa i w oparciu o jej wolę pomogły mu na powrót zakorzenić się w tej rzeczywistości. Potrzebne były dwie godziny, aby Inubis zakończył wielki rytuał powitania nowego Pana Tarczy Słonecznej. Indry.

Potrzebne były kolejne dwie godziny, by armia Nowej Styrii weszła do miasta, gdzie bronił się już tylko kapitol. Ale zanim to się stało, runęły z niewiadomych przyczyn mury Izaionu.

To właśnie zapowiadała, to właśnie był szok, jaki miała zafundować ludom tej ziemi, by nie byli w stanie się im przeciwstawić. Patrząc na zwęglony krater, Sefres, Wielki Książę Nowej Styrii, był święcie przekonany, że dzień ten stanie się dniem przełomowym w całej historii dwutysiącletniego mocarstwa. I tylko trochę się mylił.